

PODZIĘKOWANIE

dla Pana
Przemysława Dudy

*za wspaniałe, profesjonalne
wprowadzanie przedszkolaków do krainy muzyki
podczas cyklu Audycji Muzycznych
prowadzonych w roku szkolnym 2012/13*

*Pomimo, że każda chwila radości
Trwa niezmiernie krótko, a później znika,
Zawsze jednak zostawia za sobą
Trwałą nadzieję
I jeszcze trwalsze wspomnienie.*

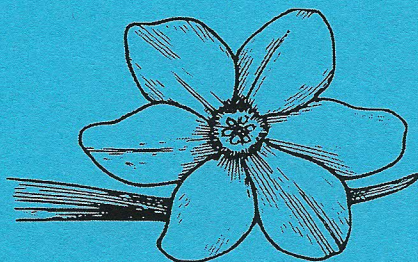
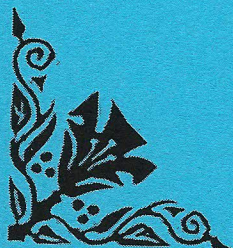
Jean Paul

Grono Pedagogiczne PM-47

Ł-ca DYREKTORA
Przedszkola Miejskiego Nr 47
Aleksandra
mgr Aleksandra Mulczyk

Przedszkole Miejskie Nr 47
w Sosnowcu
41-209 Sosnowiec, ul. Piłsudskiego 92
tel./fax: 032/299 67 04
NIP 6443322591 Regon 271509179

Sosnowiec, 19 czerwiec 2013



O kromce, co spadła złą stroną – Paulo Coelho

Wszyscy święcie wierzymy w słynne prawo Murphy'ego: cokolwiek robimy, zazwyczaj kończy się to źle. Jean Claude Carriere opowiedział mi interesującą historię.

Pewien mężczyzna spokojnie pił poranną kawę. Nagle kromka chleba, którą posmarował masłem, spadła na podłogę.

Jakież było jego zdziwienie, gdy schyliwszy się, zobaczył, że chleb spadł posmarowana stroną do góry! Mężczyzna uznał, że stał się cud. Podekscytowany, opowiedział o zdarzeniu znajomym. Wszyscy byli zdziwieni, przecież kromka chleba zawsze spada masłem w dół, przy okazji brudząc wszystko dookoła.

- Może jesteś święty – zauważył ktoś. – Otrzymałeś znak od Boga.

Wkrótce wiadomość obiegła całą wieś i wszyscy żywo dyskutowali o tym, co się stało. Jak to możliwe, że wbrew zasadzie kromka chleba spadła temu człowiekowi właśnie w taki sposób? Nikt nie umiał na to odpowiedzieć, więc poszli do mieszkającego w pobliżu Mistrza i opowiedzieli o wydarzeniu.

Mistrz poprosił o czas na refleksje i modlitwę, by otrzymać natchnienie od Boga. Następnego dnia ludzie zjawili się u niego ciekawi odpowiedzi.

- To proste – powiedział Mistrz. – Chleb upadł dokładnie tak, jak powinien, tylko masło było po złej stronie.

Czemu rozpaczasz duszo moja?

Ufaj Panu, gdyż Bóg jest

zbawieniem moim

Ps. 42,6

Lament pustyni – Paulo Coelho

Przyjaciół wrócił właśnie z Maroka i opowiedział mi piękną historię o misjonarzu, który przyjechał właśnie do Marrakeszu z postanowieniem, że każdego ranka będzie chodził na spacer po pustyni okalającej miasto. Podczas pierwszego spaceru spotkał mężczyznę leżącego z uchem przy ziemi, głaszczącego piasek.

- „Szaleniec” – pomyślał.

Jednak sytuacja powtarzała się każdego dnia. Po miesiącu zaciekawiony misjonarz postanowił zagadnąć nieznanego. Uklęknął przy nim i z wielkim trudem – gdyż nie znał jeszcze biegle arabskiego – zapytał:

- Co robisz?

- Siedzę przy pustyni, pocieszam ją w samotności i łzach.

- Nie wiedziałem, że pustynia może płakać.

- Płacze każdego dnia, bo marzy, żeby człowiek zrobił z niej użytek i zamienił w wielki ogród, w którym będzie uprawiał zborze, kwiaty, hodował owoce.

- Powiedz pustyni, że dobrze spełnia swoją rolę – odparł misjonarz. – Codziennie, gdy tedy przechodzę, rozmyślam nad prawdziwym wymiarem ludzkiego życia, a jej otwarte przestrzenie pozwalają dostrzec naszą małość względem Boga.

Patrząc na pustynny piasek, wyobrażam sobie miliony ludzi stworzonych na równi, choć życie nie z każdym postępuje sprawiedliwie. Pustynne wydmy pomagają mi w modlitwie. Kiedy widzę na horyzoncie wschodzące słońce, serce moje wypełnia radość i czuję się bliżej Stwórcy.

Misjonarz odszedł i zajął się swoimi codziennymi sprawami. Jakież było jego zdziwienie, gdy następnego dnia rani zastał człowieka w tym samym miejscu i w tej samej pozycji.

- Rozmawiałeś z pustynią o tym, co ci wczoraj powiedziałem?

Człowiek skinął głową.

- I nadal płacze?

- Słyszę każdy jej szloch. Teraz rozpacza, bo od milionów lat myślała, że jest bezużyteczna. Zmarnowała tyle czasu, bluźniąc przeciw Bogu i skarżąc się na swój los.

- Powiedz jej, że choć życie człowieka jest o wiele krótsze, on też całymi latami rozpacza, że jest bezużyteczny. Rzadko kiedy odkrywa sens swego istnienia i jest przekonany, że Bóg obszedł się z nim niesprawiedliwie. Kiedy wreszcie nadchodzi chwila, gdy jakieś wydarzenie odkrywa przed nim powód jego narodzin, zdaje mu się, że jest za późno, i nadal cierpi. Podobnie jak twoja pustynia obwinia się o stracony czas.

- Nie wiem, czy ona to usłyszy – odparł człowiek. – Przyzwyczaiła się do bólu i nie umie inaczej patrzeć na świat.

- Zróbmy więc to, co zawsze czynię, gdy widzę człowieka tracącego nadzieję. Pomódlmy się.

Ukłonili i zaczęli się modlić, jeden zwrócony w stronę Mekki, gdyż był muzułmaninem, drugi, złożwszy błagalnie ręce, gdyż był katolikiem. Każdy modlił się do swego Boga, który był zawsze tym samym Bogiem, choć ludzie upierają się, by nadawać Mu różne imiona.

Następnego dnia, gdy misjonarz udał się jak zwykle na poranny spacer, człowieka nie było. W miejscu, gdzie zazwyczaj siedział, gładząc piasek, ziemia zdawała się wilgotna. Powstało tu niewielkie źródło, które z czasem powiększyło się tak, że mieszkańcy zbudowali studnię.

Beduini nazywają to miejsce Studnią Pustynnych Łez. Mówią, że kto napije się z niej wody, zmieni przyczynę swoich cierpień w źródło radości i odnajdzie prawdziwe powołanie.

Nie jesteśmy sami – Mary L. Miller

Kiedy mąż zmarł nagle na atak serca na korcie tenisowym, cały mój świat przewrócił się do góry nogami. Obowiązek utrzymania domu w pojedynkę, zapewnienia opieki czy choćby jako takiego trybu życia sześciorgu moim dzieciom, które miały wówczas dziesięć, dziewięć, osiem, sześć, trzy lata a najmłodsze zaledwie osiemnaście miesięcy, zdawał mi się chwilami ponad siły.

Na całe szczęście znalazłam wspaniałą gosposię, która w tygodniu opiekowała się dziećmi, lecz od piątkowego wieczoru do poniedziałkowego poranka zostawałam z nimi sama, toteż nie najlepiej się wtedy czułam. Każde skrzypnięcie w domu, każdy niezwykle odgłos czy telefon późno w nocy – wszystko napełniało mnie strachem. Byłam potwornie samotna.

W pewien piątek wieczorem wróciłam z pracy, a przed drzwiami naszego domu zastałam pięknego, ogromnego owczarka niemieckiego. To wspaniałe, silne zwierzę przejawiało wyraźną ochotę, by wejść i zdomować się w środku. Miałam jednak wątpliwości. Skąd wziął się tutaj ten zadbany psiak? Czy to bezpieczne, żeby dzieci bawiły się z obcym psem? Chociaż wydawał się delikatny, był taki olbrzymi, że należało obchodzić się z nim z odpowiednim szacunkiem. Dzieci od razu go polubiły i błagały mnie, bym wpuściła go do domu. W końcu zgodziłam się, żeby spał w piwnicy do następnego dnia, kiedy to mieliśmy popytać w sąsiedztwie o jego właściciela. Tej nocy po raz pierwszy od wielu tygodni spałam spokojnie.

Nazajutrz rano, mimo że wykonaliśmy całe mnóstwo telefonów i sprawdziliśmy sporo ogłoszeń w rubrykach rzeczy zaginionych, nie udało nam się odnaleźć właściciela owczarka. Pies tymczasem stał się już częścią naszej rodziny i dobroduszenie znosił uściski, zapasy i psoty na dziedzińcu. W sobotę wieczorem wciąż był z nami, więc pozwoliłam mu znowu spać w piwnicy.

W niedzielę zabrałam dzieciaki na piknik. Ponieważ pomyślałam, że najlepiej będzie, jeśli zostawimy owczarka w domu, w razie gdyby jego właściciel znalazł się gdzieś w okolicy, wyruszyliśmy bez niego. Kiedy zatrzymaliśmy się na pobliskiej stacji benzynowej, ze zdziwieniem ujrzeliśmy naszego przybłędę, który pędził co sił w łapach za nami. Wreszcie dogonił nas, wskoczył na maskę samochodu i przycisnął nos do przedniej szyby, patrząc mi prosto w oczy. Wcale nie zamierzał zostawać sam w domu. Wskoczył do kombi i wygodnie usadowił się z tyłu na czas naszej podróży. W niedzielę również z nami został.

W poniedziałek rano wypuściliśmy go na zewnątrz, żeby chwile pobiegał, podczas gdy dzieci przygotowywały się do szkoły. Nie wrócił. Kiedy do wieczora się nie pokazał, wszyscy byliśmy troszkę zawiedzeni. Sądziłyśmy, że odnalazł swój dom albo właścicieli i że nigdy więcej już go nie zobaczymy.

Nie mieliśmy racji. W następny piątek wieczorem owczarek czekał pod drzwiami. Wpuściliśmy go do domu, gdzie pozostał do poniedziałku, kiedy to przyszła nasza gosposia.

Taka sytuacja pojawiała się w każdy weekend przez blisko dziesięć miesięcy. Byliśmy coraz bardziej do niego przywiązani i z niecierpliwością wyczekiwaliśmy jego wizyt. Przestaliśmy się zastanawiać, do kogo należy – należał do nas. Koła nas sama jego siła, ciepła obecność i czuliśmy się bezpiecznie, gdy był w pobliżu. Kiedy dostrzegaliśmy, że zdradza oznaki niepokoju, strzyże uszami, a z jego gardła dobywa się to niskie powarkiwanie, wiedzieliśmy, że jesteśmy chronieni.

Kiedy owczarek na dobre wszedł już do naszej rodziny, poczytywał za swój obowiązek zajrzenie wieczorem do wszystkich sypialni i upewnienie się czy maluchy bezpiecznie chrapią sobie w łóżeczkach. Gdy z satysfakcją przekonywał się, że ostatnia osoba smacznie śpi, zajmował swoje stanowisko przy drzwiach wejściowych, gdzie zostawał do samego rana.

Każdego tygodnia, pomiędzy odwiedzinami owczarka, stawiałam się nieco silniejsza, nieco odważniejsza i coraz lepiej dawałam sobie radę ze swoimi obowiązkami. W każdy weekend cieszyłam się jego towarzystwem. W pewien poniedziałek rano pogłaskaliśmy go po głowie i pozwoliliśmy odejść, jak się później okazało, po raz ostatni. Nigdy już nie powrócił. Nigdy już go nie ujrzelśmy ani nie usłyszeliśmy.

Często o nim myślę. Pojawił się, kiedy najbardziej go potrzebowałam, zniknął, kiedy byłam już na tyle silna, żeby samotnie sobie dawać ze wszystkim radę. Może jest jakieś naturalne wytłumaczenie wizyt owczarka w naszym domu – może jego właściciel wyjeżdżał na weekendy, może... Lecz wierzę, że został zesłany, ponieważ go potrzebowałam, ponieważ bez względu na to, jak bardzo samotni i porzuceni się czujemy, jakoś, gdzieś, ktoś wie i troszczy się o nas. Nigdy nie jesteśmy naprawdę samotni.

O zagrożonej dobroczynności – Paulo Coelho

Jakiś czas temu moja żona pomogła szwajcarskiemu turyście, który poskarżył się jej, że został napadnięty przez kieszonkowców. Kalecząc straszliwie portugalski, z topornym akcentem wytłumaczył jej, że został bez paszportu, pieniędzy i dachu nad głową.

Żona postawiła mu obiad, dała pieniądze na nocleg w hotelu, by mógł w tym czasie skontaktować się z ambasadą, i poszła. Parę dni później jedna z gazet lokalnych w Rio doniosła o wyczynach „szwajcarskiego turysty”, który okazał się kolejnym pomysłowym naciągaczem. Udając obcy akcent, wykorzystał naiwność zakochanych w Rio ludzi, którym leży na sercu poprawa złej reputacji miasta – słusznie czy nie – od lat z nim związanej.

Po przeczytaniu tej notatki żona powiedziała krótko:

- I tak nie zniechęci mnie to do pomagania innym.

Jej słowa przypomniały mi pewna opowieść o mędrцу, który przybył do miasta Akbar. Mieszkańcy nie zwracali na niego uwagi, a jego kazania nikogo nie poruszyły. Z czasem stał się wręcz tematem żartów i ironicznych komentarzy.

Pewnego dnia, gdy szedł główna ulicą Akbaru, grupa mężczyzn i kobiet zaczęła obrzucać go wyzwiskami. Zamiast udawać, że niczego nie słyszy, mędrzec podszedł do nich i zaczął im błogosławić.

Ktoś zauważył zdziwiony:

- Czyżbyśmy mieli do czynienia z głuchym? Wykrzykujemy takie straszne rzeczy, a on odpowiada nam pięknymi słowami!

- Każdy może dać drugiemu tylko to, co ma w sobie najlepszego – opowiedział mędrzec.